

Teatr

Po trzydziestu latach wystawiania, po odkryciu europejskiej i światowej awangardowości, po ukazaniu wszelkich niezwykłości, po ujawnieniu obszarów niezrozumienia, po rozszyfrowaniu „czystej formy”, po wielkim i historycznym niemal nawrocie ku „normalności”, po interpretacjach politycznych, filozoficznych, skandalizujących i całkiem przywoitych, po metafizycznych doznaniach, orwellowskich wizjach, kosmicznych uogólnieniach, po odkryciu wszelkich możliwych związków wewnętrznych i zewnętrznych – teatr nasz doszedł wreszcie (za sprawą Piotra Cieślaka i Jana Englerta) do dość melancholijnego wniosku, że Witkacy jest już starym nudziarzem, po którym z ciekawszych rzeczy pozostały dziecinne bajki i sympatyczna farsa.

NAJPIERW bowiem w spektaklu „A...a czyli Juwenilia i Nowe Wyzwolenie” w warszawskim Teatrze Powszechnym Piotr Cieślak starał się pokazać, że: „w komediach i dramatach Stasia łatwo wyróżnić środki artystyczne, które będą się powtarzać w całej twórczości Witkacego”, że dziecinne próby „zawierają wiele elementów rozwiniętych w jego późniejszych dziełach dramatycznych”, a „Nowe Wyzwolenie” jest „najbardziej sceniczną spośród pięciu sztuk wczesnego etapu twórczości dramatopisarza”; a wszystko to razem wzięwszy, jeśli się nie jest witkacologiem lub dalekim choćby członkiem rodziny Witkacego żywotnie zainteresowanym geniuszem małego Stasia, nie stanowi jeszcze dość sensownego powodu do tego, by zrobić ważne przedstawienie. Owszem, można się troszę pośmiać na „Komedii z życia rodzinnego”, czy na „Księżnicze Magdalenie czyli Natrętnym Księżciu”, głównie za sprawą bardzo zabawnych: Elżbiety Kepińskiej i Joanny Zółkowskiej, ale „odkrywanie” w teatrze tego, że w dziecku drzemią już jakieś stereotypy twórcze, które później rozwinią się (np. w „Nowym Wyzwoleniu”), jest pomysłem w gruncie rzeczy po trosze... uśmierającym autora. Bo wiem każdy skonwencjonalizowany sposób analizy dzieła, pokazujący, że autor przez całe życie pisał w zasadzie coś podobnego, zawsze mimo woli prowadził do wniosku,

że może niepotrzebnie wszyscy razem traciliśmy czas.

W każdym razie Cieślak powiada słusznie po wielu latach intensywnej recepcji Witkacego na naszych scenach, że mamy do czynienia z pisarzem posługującym się stereotypami, konwencjonalnymi rozwiązaniami, obsesyjnymi tematami, podobnymi bohaterami itp. itd. Z takiego „odkrycia” rzadko rodzi się dobry teatr.

Po pracy... Witkacy

MOGLIŚMY się o tym przekonać także na „Onych” w Teatrze Polskim w Warszawie. Jan Englert sprawia wrażenie, że Witkacy nie ma dla niego tajemnic. Na środku sceny stoi wielkie łóżko, wokół którego wszystko się kręci jak w prawdziwej farsie. „Oni” są po trosze z farsy, po trosze z operetki. „Oni” odgrywają swoje role z całkowitym przekonaniem o zewnętrzności, groteskowości, operetkowości swoich gestów, min, znaczeń. W tym przedstawieniu nic nie jest na serio. Figury z farsy nie są w stanie udźwignąć ani intelektualnych sensów, ani nadać swym postaciom głębszego wymiaru. „Oni” to jakaś wo-farsowa mistyfikacja. Idiotyczna komercja. Pośród

„onych” jest wiele charakterystycznych dla farsy typów, zagranych z dużym poczuciem tej dość niedzisiejszej konwencji przez Katarzynę Laniewską, Barbarę Horawiankę, Janusza Zakrzeńskiego czy Jana Matyjaszkewicza. W takiej konwencji najmniej do grania mają amanci. Aleksandra Konieczna jako Spika pokazuje, że ma sporo scenicznych talentów, ale jednocześnie zbyt mało scenicznego doświadczenia, by poradzić sobie z dużą i niepełnie w takich rozmiarach potrzebną w tym przedstawieniu rolą. Lepiej poradziła sobie ze schematyczną rolą Rosiki inną niedawna absolwentka szkoły teatralnej, efektowna i pełna seksu na scenie Małgorzata Pieńkowska. Piotr Bajor jako Bałandaszek raczej tylko odpowiadał na kwestie i pytania i martwił się od samego początku, że „nie podola”.

Przedstawienie Englerta zasługuje w sumie na sporo komplementów w rodzaju:

że jest eleganckie, w dobrym guście, że panie są twarżowo i gustownie ubrane, z wdziękiem i zrozumieniem podają tekst i zmysłowo „wcielają” się w role, panowie dobrze wychowani, z nienagannymi manierami, z godnością noszą fraki i podtrzymują dialog, nikt nikomu w przedstawieniu krzywdy nie robi, nawet odległa śmierć Spiki wydaje się trochę jak z baletu, tak jest eteryczna i nierealna, jest sporo porozumiewawczych spojrzeń, wtajemniczonych min i jak to u Englerta kilka finałów, po których wszystko staje się jeszcze bardziej jasne niż na początku. Tylko trudno uwierzyć, że to ciągle jeszcze jest Witkacy. Albo on sam się źle zestażował, albo teatr stetryczał za wcześnie.